

– Panie Willer – policjant starał się brzmieć spokojnie.  
– Przychodzi pan tu i przychodzi, a my nie mamy środków ani ludzi na takie przedsięwzięcia. Czy coś się panu stało? Nie. Czy coś zginęło? Nie! Czy kogoś pan widział? Też nie!

– Słyszałem głos i inne dźwięki, niepokojące...

– Słyszałem głos! – oficer dyżurny uderzył dłonią w blat biurka. – Dobrze sobie. Czy pan wie, ile ja tu mam zgłoszeń od takich, co słyszą głosy? Niech się pan domyśli, gdzie większość z nich łąduje – dodał, ścisząc głos. Zakręcił przy tym wskazującym palcem w okolicy skroni i spojrzał na starca znacząco. – Panie Willer, niech pan się nie gniewa, ale w pewnym wieku ludzie miewają przywidzenia albo te, no, jak to się mówi, omamy słuchowe. A może to tylko sąsiad kłóci się z żoną?

– Nie mam sąsiada.

– Panie Willer – policjant usiadł, wyprostował się w fotelu i przyjmując ton służbowy, oznajmił: – Przyjąłem pana zgłoszenie, ale ze względu na niską szkodliwość oraz brak dowodów umorzmy postępowanie. Gdy zdobędzie pan jakiś rysopis, nagranie lub jeśli zostanie pan poszkodowany, proszę nas niezwłocznie powiadomić. Do widzenia.

Wilhelm Willer wyszedł przed komisariat, naciągnął na głowę filcowy kapelusz i podniósł kołnierz wełnianego płaszcza. Zimno przenikało go aż do kręgosłupa. Dał silny wiatr ze wschodu i zaciął drobny, twardy śnieg, a w powietrzu było dużo wilgoci.

Wilhelm Willer zgiął się wpół i ruszył pod wiatr do domu. Pozostała mu tylko ucieczka.



## Rozdział 1

*w którym gang, zagryzając ciasteczkami,  
knuje pod śniegiem*

Nie znam nikogo, kto by nie lubił tego momentu tuż przed postawieniem stopy na świeżym śniegu.

Jowanka zatrzymała się pod swoim blokiem, na skraju bezkresnego arktycznego pola. Wydawało się, że gdyby znieruchomiała na odpowiednio długą chwilę, mogłaby zobaczyć lisa polarnego. Jednak miała teraz w sobie zbyt wiele niecierpliwości i radości, żeby stać w miejscu.

Chciała patrzeć na gładką aksamitną powierzchnię i w tym samym czasie znaczyć ją swoimi śladami. Chciała wyobrazić sobie, że jest samotnym norweskim odkrywcą na biegunie północnym i jednocześnie pędzić ile sił na spotkanie z przyjaciółmi pod Gilotyną.

Trwały najwspanialsze ferie zimowe w życiu Jowanki. Pierwszy tydzień spędziła z tatą w Alpach. Tam, w małym włoskim miasteczku, uczyła się jeździć na nartach.

Przed wyjazdem odwiedzili lekarza. Tata chciał się upewnić, czy Jowanka może uprawiać taki sport po

wypadku na rowerze. Trzy miesiące wcześniej złamała rękę w dwóch miejscach i miała wstrząśnienie mózgu.

– A co? – zapytał pan doktor, który przy okazji był tatą Franka, jednego z najlepszych przyjaciół Jowanki. – Macie zamiar jeździć tam na rękach?

Zatem pojechali. Najświetniejsze było to, że tata spędzał z nią cały czas. Nawet nie zabrał ze sobą komputera, od którego w domu nie odklejał się przecież i podczas posiłków. Tylko wieczorami, kiedy w rozgrzanej i gwarnej pizzerii czekali na swoje zamówienie, sprawdzał pocztę w komórce. Jowanka doceniała, że zabierało mu to nie więcej niż dziesięć minut.

Podczas dwóch pierwszych dni wjeżdżali razem na płaską górkę, zwaną ośłą łączką, i tata cierpliwie pokazywał jej, jak jeździć pługiem, a potem uczył ją skręcać.

Nie było to łatwe. Wystarczyło przypiąć sztywne narty do butów, a stawały się dzikimi mustangami. Wybierały zupełnie inny niż Jowanka kierunek, jakby namawiały nogi, żeby wspólnie z nimi wyrwać się na wolność. Spod kasku spływał pot, bolały zaciśnięte wciąż zęby, mięśnie i potłuczony zadek.

Jowanka nie miała zamiaru się poddawać. Cały czas pamiętała, jak pokonała swój największy strach, kiedy niedawno nauczyła się pływać. Teraz zwyciężyła własne nogi i pod koniec pobytu szusowała śladem taty po całkiem trudnych trasach. Mogła cieszyć się prędkością, wiatrem, słońcem na twarzy i pięknymi widokami. Czuła się panią świata.

Dawno tyle z tatą nie rozmawiali i żartowali. Miała wrażenie, że widzą to wszyscy naokoło, a te surowe góry,

niczym hektyliardletnie gigantyczne starowiny, kołyszają się nad nimi z dobrotliwymi uśmiechami.

Jakby tego było mało, po powrocie, czyli wczoraj, tata wręczył Jowance jej pierwszy, własny telefon komórkowy.

– Spędzasz tyle czasu sama, już dawno powinienem o tym pomyśleć – rzekł, wyciągając niezgrabnie pudełko z kolorowej reklamówki. – Możesz też robić nim zdjęcia i kręcić filmy. Jak ci się to spodoba, dokupię dodatkową pamięć, żebyś miała dość miejsca na zapisywanie. Chyba wpuszczają do szkoły z telefonami, co?

– Wpuszczają, wpuszczają – szepnęła uradowana, mocując się z otwarciem.

– To nie ajfon, ale jest biały – dodał tata, czochrając swoje ciemne, nastroszone włosy. – Pomyślałem, że jak ktoś nosi tylko czarne i pomarańczowe rzeczy, to powinien mieć biały telefon.

Jowanka już nic nie powiedziała, tylko pokiwała głową, ostrożnie odłożyła prezent na stół, a potem zawisała tacie na szyi i mocno go uścisnęła. Nigdy nie była pewna, czy on to lubi, ale niektóre sytuacje wymagają specjalnego przytulenia do rodzica i tyle.



Jowanka stała pod blokiem, szykując się do biegu przez gładkie śnieżne pole. Zadarła głowę. Niebo uwolniło rój ogromnych, ciężkich, puszystych płatków, które lądowały w zwolnionym tempie jak białe leniwe trzmiele.

Patrzyła w górę tak długo, aż straciła poczucie, czy to śnieg opada na nią, czy to ona leci do góry. Roześmiała się i wystawiła język. Mróz lekko szczypał w nos, a śnieżynki tak szybko roztopiały się w buzi, że ledwie dało się poczuć ulatujące z nich zimno.

Wyjęła komórkę z kieszeni, podniosła nad głowę i sfilmowała padający śnieg.

W ten mroźny niedzielny poranek na podwórku nie było żywej duszy. Zimowa pierzyna wygłuszyła najmniejszy szmer, panowała taka cisza! Śnieg sypał od rana i jak okiem sięgnąć, wszystko pokrywał biały puch. Zniknął ten brzydki plac budowy i ścieżki, wydeptane przez dzieciaki i ich sanki. Jowanka wiedziała jednak o śladach, których nie musiała widzieć, śladach jej przyjaciół, którzy wcześniej tego ranka pobiegli do bazy pod Gilotyną, gdzie czekali na nią, tak jak się umówili.

Świadomość, że ktoś na nią czeka, była kolejnym powodem radości. Puściła się biegiem w dół łagodnego zbocza, wykonując przy tym dzikie podskoki, żeby podbić jak najwięcej śnieżnych tumanów. Wspięła się na skarpe po drugiej stronie placu budowy i dopiero wtedy, za gęstymi firanami śniegu zamajaczył czarny pień starej, łysej jabłoni. Gilotyna.

Jowanka zaniepokoiła się, bo chłopaków nie było widać, ale już po chwili od ciemnego kształtu Wielkiej Skały, czyli potężnego głazu leżącego pod drzewem, oderwała się jakaś postać.

– Cześć! – zawołał z uśmiechem Tomaszek, wyłaniając się spomiędzy płatków śniegu.

– Sam jesteś? – zapytała i przykucnęła, bo ogromnym susami dopadł do niej Wiking, pies Franka. Podrapała go pod ośnieżoną rudą brodą, podziwiając przy tym brezentową plandekę, rozpiętą między głazem a jabłonią.

– Chłopaki robią orły na śniegu – wyjaśnił Tomaszek.

Okrążyli Wielką Skałę, a za nią na śniegu miały się trzy orły: jeden w czerwonej puchówce, drugi w żarowiaście żółtej, a trzeci w pstrokatej.

– Hejo! – zaśmiała się Jowanka.

– Ekstra śnieg, Jowanka! – zawołał pstrokaty Dominik. – Zrób se orełka, czy tam aniołka!

Weszli pod namiot i stłoczyli się na drewnianych paletach.

– Kiedy to zrobiliście? – zapytała Jowanka, wskazując brodą rozpostartą nad nimi plandekę.

– Chyba dawno tu nie przychodziłaś – stwierdził Wawrzek, wymiatając śnieg, którego trochę nawiało z jednej strony. – Brezent znaleźliśmy jeszcze jesienią i jak zaczęło padać, to zamocowaliśmy z Dominikiem.

– Ale gleba była i tak za mokra do siedzenia, to skołowalem od ojca z roboty dwie palety. Teraz można usiąść i w ogóle jest ekstra.

– Jest git, ale długo nie wytrzymujemy, jak jest wiatr albo minus dziesięć jak dziś – powiedział Franek. – Dlatego szukaliśmy tego bunkra, wiesz, co pies Damiana Radtke do niego wpadł na grzybach.

– No, z bunkra toby była w deseczkę skryjowa – pokiwała głową Jowanka.

– To ściema jakaś! – machnął ręką Dominik. – Cały lasek przeszukaliśmy i żadnego włazu nie było.

– Damian przysięgał na życie matki – wtrącił Tomaszek.

– Może on myśli, że to był bunkier – wzruszył ramionami Wawrzek. – Albo mu się przyśniło, tak wiecie, realistycznie. Myśmy szukali we czterech z Wikingiem i nic.

Jowanka wyciągnęła z kieszeni papierową torebkę.

– Przywiozłam wam ciasteczka z Włoch, migdałowe – powiedziała, częstując chłopców. – Nazywają się amaretto.

– Amaretto – powtórzył Dominik rozmarzonym głosem aktora z reklamy. – Tak smakują narty...

Przez chwilę chrupali w milczeniu, popijając gorącą herbatą z termosu Dominika.

– Domino, to na pewno jest herbata? – skrzywił się Wawrzek. – Chyba żeś kilo cukru wewalił do środka, w ogóle nie można rozpoznać smaku. Słodsza niż te ciastka.

– Może i trochę mi się sypnęło – zgodził się Dominik. – Najważniejsze, że coś gorącego w taki ziąb, no nie?

– Mamy inny pomysł – wrócił do tematu Franek. – Na działkach teraz nikogo nie ma, nawet nikt nie imprezuje. Wymyśliliśmy, że poszukamy sobie tam jakiejś altanki na bazę zimową. Pod Gilotyną wieje i w dodatku, jak krzaki dookoła nie mają liści, jest całkiem na widoku.

– Tylko że tam straszy – mruknął Tomaszek.

– Ta, już straszy! – przewrócił oczami Wawrzek. – Upiór działkowicz. Nocą wstaje z kompostownika i wysysa zdziczałe buraki. A potem gania niegrzeczne dzieci z zardzewiałym szpadlem.

– Skąd wiesz? – Jowanka zwróciła się do Tomaszka.

– Nnno nie wiem na pewno – odparł. – Ale tak słyszałem. Przed świętami Bożego Narodzenia, kiedy przyszły pierwsze mrozy, była tu straż miejska i wyprowadzili wszystkich bezdomnych, żeby nikt nie zamarł. Od tamtej pory na pewno nikt tu nie wrócił, ale podobno nocami można zobaczyć słabe światło w jednej z altanek.

– Może ktoś tam jednak imprezuje po nocach... – Jowanka szukała rozsądnego wytłumaczenia, bo zrobiło się jej jakoś nieprzyjemnie.

– Może... Tylko że rano nigdy nie widać żadnych śladów. Śnieg jest nieruszany, najwyżej odciski łap jakichś zwierzątek.

– Serio?

– Sprawdzaliśmy z Frankiem i Wikingiem.

– To fakt – przyznał niechętnie Franek. – Specjalnie przeszliśmy się dookoła i zaglądaliśmy przez ogrodzenie. Nie było żadnych tropów.

– Jak zwierzątko, to może ten miś, no, Miś Uszatek się wprowadził! – zarechotał Wawrzek. – Ma takie małe stópki, w sam raz do waszych tropów zwierzątkowych. Widzieliście chyba w telewizji? Ma łóżko, lampkę i nawet śpiewa: „Pora na dobranoc, bo już lampka świeci”...

– Księżyc świeci, ciołku! – roześmiała się Jowanka.

– Ehe! – rżał Dominik. – Spitolił na działki, bo miał dość życia celebryty, ha, ha, ha!

Tomaszek też się śmiał. To najbardziej lubił w gangu – rozbajali każdy jego lęk.

– Okej – powiedział Franek, kiedy wszyscy trochę się uspokoili. – Od jutra rozejrzemy się za odpowiednią skryjówką na działkach. Może Miś Uszatek się za bardzo nie wpieni na spokojnych sąsiadów.

– Zobaczcie, co mam – Jowanka przypomniała sobie o nowym telefonie.

– Ekstra! – wykrzyknął Dominik. – Zaraz wymienimy się numerami.

– O nie. Teraz tylko ja nie mam – westchnął Wawrzek.

Jowanka zajrzała do papierowej torebki i podała mu ją.

– Weź, ostatnie.

Wawrzek sięgnął ze zrezygnowaną miną, ale widząc czujne spojrzenie Dominika, szybko wpakował sobie całe ciastko do ust.

Jowanka pokazała im swój filmik.

– Biały śnieg z białego nieba w białym telefonie, no ekstra – rozłożył ręce Dominik. – Możesz wmawiać innym, że nakręciłaś, jak kucharz morduje piekarza w magazynie mąki.

– Albo yeti częstuje niedźwiedzia polarnego kostkami cukru – dorzucił Franek.

– Panny młode grają w hokeja – strzeliła Jowanka.

– Gęsi z pieczarkami stawiają bałwana – dodał Tomaszek.

– Pieczarki są szarobrązowe, co ty! – zaprotestował Dominik.

– Dla ciebie, Domino, liczy się tylko to, co na talerzu – poklepał kolegę po plecach Wawrzek. – Tomaszek mó-

wił o nieusmażonych pieczarkach, takich białaskach, żywych jak szturmowcy Dartha Vadera.

– Fajny film zrobiłaś, Jowanka – pochwalił Tomaszek.

– Będziemy oglądać, jak się zaczną upały.

– Telefon spoko rzecz, chyba że ktoś przegina tak jak Mańka – odezwał się Franek, a wszyscy spoważnieli.

– Wypytywałem te maluchy z pierwszej klasy – powiedział Wawrzek. – Nie chcieli nic gadać. Ale raz do mamy przyszła znajoma z dzieciakiem, może kojarzycie, taki pucaty z czarnymi loczkami, z drugiej. Bawił się z Zuzką i Patysiem, i udało mi się go podejść. Wiecie, wyluzował i trochę opowiedział.

– No dawaj, bo muszę już iść na obiad – ponaglił Dominik.

– Mania z kumpelkami wyciąga od dzieciaków kasę. Czai się i filmuje ich w różnych przypałowych sytuacjach. Na przykład jak robią siku, jak się przebierają na wuefie albo jak dłubią w nosie, i grozi, że powysyła to do wszystkich uczniów ze starszych klas. Potem mówi im, że za pieniądze dotrzyma tajemnicy. Przynoszą, bo się boją, że cała szkoła będzie mieć z nich bekę. Jeszcze grozi, że nie wolno im nikomu wygadać, bo wtedy nie tylko powysyła, ale zrobi coś o wiele potworniejszego.

– Co? – wyszeptał Tomaszek.

– Nie wiem. Pewnie nic, tylko tak ich straszy.

– Trzeba zrobić to samo. Nagramy, jak zabiera dzieciakom pieniądze, i pokażemy pani Joli – powiedziała Jowanka, zaciskając pięści. Miała własne porachunki z Manią, które skończyły się wypadkiem na rowerze. Od

tamtej pory trzymały się od siebie z daleka, ale Mania, jak widać, znalazła sobie nowe ofiary do gnębienia, w dodatku całą rzeszę.

– Będziemy czujni, znajdziemy dowód i zrobimy z tym porządek – zdecydował Franek, jak na prawdziwego przywódcę gangu przystało. – A jutro ustawiamy się na przepatrywanie ogródków działkowych. Mamy jeszcze tydzień ferii.

Wygramolili się z namiotu, w którym jednak trochę zmarzli. Na szczęście śnieg właśnie przestał padać. Chmury rozsunęły się i wyjrzało jaskrawe słońce, które mimo mrozu dawało przyjemne ciepło.

Ze śmiechem pobiegli w stronę bloków, podskakując i obrzucając się śnieżkami. Jowanka pomyślała, że drugi tydzień ferii zapowiada się równie wspaniale.



## Rozdział 2

*w którym gang bada tropy na działkach i zdumiewa się historią o piratach, a na Jowankę spada grom*

– Poszli – mruknął Patyś, śledząc przez okno gang znikający za bramą ogródków działkowych. Odwrócił się do Zuzki i Nikoli, upakowanych po zęby w grube kombinezony. U ich obutych w pękate zimowce stóp stały wypchane plecaki. – Jesteście gotowe?

Kombinezony uniosły w górę prawe kciuki.

– Idę do mamy – oznajmił.

Mama jeszcze spała, tego dnia szła do pracy na popołudniową zmianę. Patyś pochylił się nad nią.

– Mamo, idziemy z Wawrzyńcem na sanki – szepnął.

– Ta... – niezbyt przytomnie odezwała się mama. – Z Wawrzyńcem? A czy on czasem nie miał polecieć gdzieś z chłopakami?

– Nnnooo, on już jest na dole, z sankami – odpowiedział Patyś, starając się jak najmniej skłamać.

– Mhm... A kto tam z wami jeszcze jest? Wydawało mi się, że słyszałam czyjś głos i to nie była Zuzka – zaznaczyła mama, uprzedzając reakcję Patysia.